Ryszard Wiktor Schramm
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Instytut Biologii Molekularnej i Biotechnologii
61-701 Poznań, ul. Fredry 10

„POLARYSTYKA" Z KSIĘGARNI I EKRANU

W naszej dosyć ubogiej literaturze polarnej mamy ostatnio do odnotowania dwie pozycje. Pierwszą jest nieduża książeczka autora francuskiego Bertranda Imberta w przekładzie Agnieszki Pelc *Wielkie wyprawy polarne*, która ukazała się w roku 1996 nakładem Wydawnictwa Dolnośląskiego w pięknie i oryginalnie wydawanej serii „Krajobrazy cywilizacji". Książeczka składa się z dwóch części. W pierwszej na stu kilkunastu stronach, z których przeszło połowę stanowią ciekawie dobrane ryciny i zdjęcia, zebrana jest bardzo krótko (bo nie mogło być inaczej) historia wypraw polarnych. Część drugą, o mniejszej objętości, stanowią „świadectwa i dokumenty (...) opowieści fantastyczne i relacje prawdziwe (...)", dotyczące spraw polarnych.

Poważną zaletą tej książeczki jest to, że w ogóle jest. Bardzo brakuje tego rodzaju popularnych opracowań. Doskonałe są niektóre zestawy rycin i fotografii, np. kilkanaście oryginalnych rycin ilustrujących kilkuletnie działania statków flotylli Austina, a następnie Belchera i Osborne'a na wodach i wśród lodów polarnych archipelagu kanadyjskiego w poszukiwaniu wyprawy Franklina, a także kapitalny zestaw zdjęć „epopei Shackletona", uratowanych z tonącego statku „Endurance". Jednakże to niewielkie dziełko, które mogło być doskonałym kompendium np. dla młodzieży szkolnej interesującej się sprawami polarnymi, pełne jest nieścisłości czy wręcz błędów, w pewnej mierze wynikających zresztą ze zbyt małej kompetencji tłumaczki.

Fakt, że autor książeczki jest Francuzem, spowodował pewne, niekiedy poważne zwichrowanie proporcji wagi różnych spraw polarnych i zasług ich organizatorów i uczestników. Oczywiście nie można mieć za złe autorowi, że jako Francuz w drugiej części książeczki cytuje przede wszystkim autorów francuskich: Dumont d'Urville'a, Taillemite'a — obszerne omówienie wypraw Charcota, Michela Barre, Jeana Malaurie, Claude'a Loriusa, J. L. Etienne'a, a nawet Chateaubrianda — są to wszystko (z wyjątkiem d'Urville'a) nazwiska w polarnictwie właściwie nieznane. W fantastyce polarnej króluje — któż by, jak nie Jules Verne!, który kazał swojemu kapitanowi Hatterasowi przedzierać się przejściem północno-zachodnim i dalej do bieguna północnego, a przy okazji wyjaśnić losy wyprawy Johna Franklina, notabene dosyć ściśle na

podstawie znanych już wówczas faktów[1], Kapitanowi Nemo wynurzyć się spod lodu na biegunie południowym[2], a ekipie Gun-Clubu, po powrocie z wyprawy na Księżyc, przymierzać się do stopienia lodów na biegunie północnym[3].

Trochę gorzej przedstawia się sprawa w części merytorycznej. Słusznie sam autor w krótkim rozdziale omawia status prawny Antarktyki, natomiast ani słowem nie jest wspomniany status prawny Arktyki i Svalbardu, uregulowany traktatem paryskim z 1920 r. Bez żadnego komentarza podany jest (na s. 33 i 218) opis obrazu Webera z 1774 r., na którym marynarze wyprawy Cooka w Antarktyce w roku 1773 polują na morsy. Zupełnym poplątaniem jest fragment na s. 63–64, gdzie Nansen i Johansen, określeni jako „podróżni", odbywają „19 maja 1896 — kolejną wyprawę", zakończoną spotkaniem Jacksona. Chyba najbardziej niezwykłej wyprawie polarnej — tragicznie zakończonej próbie Andréego dolecenia balonem do bieguna północnego — poświęconych jest kilkanaście linijek, dobrze że uzupełnionych trzema oryginalnymi zdjęciami. Notabene wyspa, na której zmarli uczestnicy tej wyprawy, nazywała się wówczas Vito — obecnie Kvitoya, co dosłownie znaczy „Biała Wyspa". Jej dokładnie przetłumaczona nazwa po francusku brzmi „Ille Blanche", jednakże dosłowne używanie nazwy w tym brzmieniu w tłumaczeniu polskim jest zupełnym nieporozumieniem. Humorystycznej ilustracji na s. 69 z *Petit Journal*, przedstawiającej walkę Peary'ego i Cooka o zatknięcie sztandaru na biegunie północnym dodaje smaku otoczenie walczących przez pingwiny! — znów bez komentarza. Nieporozumieniem jest zdanie na s. 70, że Cook „w latach 1897—1899 uratował antarktyczną ekspedycję belgijskiego barona de Gerlache". Zupełnie zdawkowe wspomnienie o tej wyprawie, która jako pierwsza zimowała w Antarktyce (jeszcze tylko jedno ogólnikowe zdanie na s. 153), jest trudne do wytłumaczenia. Nieprawdziwa jest informacja (s. 73), że po przymusowym lądowaniu hydroplanów Amundsena w locie do bieguna w maju 1925 roku jeden z nich 14 czerwca wylądował w pobliżu bieguna. W rzeczywistości z trudem udało mu się wrócić w pobliże brzegu Ziemi Północno-Wschodniej. Amundsen był **nad** biegunem północnym na „Norge" w roku 1926. „Zatoka" na Spitsbergenie, z której startowała „Norge" do lotu do bieguna (s. 73), to obecny Kongsfjord; wówczas nosił on angielską

---

[1] *Les Aventures du capitaine Hatteras*, 1886.

[2] *20 000 mil podmorskiej żeglugi* (w książce podano błędnie 200 000 mil), 1870; tłum. polskie.

[3] *Sans dessus dessous* (rok wyd. ?).

nazwę Kingsbay. Bzdurą jest (s. 74), że lecąc „Italią" „23 maja 1928 Nobile zatknął tam (na biegunie) nową banderę włoską i ustawił wielki dębowy krzyż". Włosi w ogóle na biegunie nie wylądowali, a flagi włoskie i krzyż zostały zrzucone ze sterowca. Nie podano też, ilu w sumie ludzi zginęło w czasie katastrofy „Italii" i w całej akcji ratunkowej. W rozdziale *Lody Antarktyki* podano ich objętość na „około 30 km^3", co chyba nie może być błędem autora tego rozdziału, wybitnego polarnika C. Loriusa. Brak jest jakiejkolwiek wzmianki o jednym z najciekawszych zjawisk związanych z Antarktyką, mianowicie o „dziurze ozonowej". Ją właśnie pokazuje efektowne kolorowe zdjęcie satelitarne na s. 109, natomiast zasięgu lodów niełatwo się na nim dopatrzeć.

Wymieniłem tu tylko niektóre — jak mi się wydawało — poważniejsze błędy książeczki. Drobniejszych nieścisłości, niezręcznych, a czasami wręcz niezrozumiałych sformułowań jest więcej. Oryginalne opracowanie spraw polarnych kończy się na roku 1990. Słuszne więc wydaje się dodanie przez Wydawnictwo Dolnośląskie na końcu krótkiego rozdzialiku *Czy człowiek koniecznie musi dojść na biegun?* o sukcesach Marka Kamińskiego i Wojtka Moskala. Jednakże — moim zdaniem — należałoby dodać również choćby króciutką informację o najważniejszych przynajmniej, innych działaniach i osiągnięciach Polaków w rejonach polarnych: o udziale Arctowskiego (kierownik naukowy wyprawy!) i Dobrowolskiego w rejsie „Belgiki", o wielkiej roli Fryderyka Schwatki, Amerykanina, ale polskiego pochodzenia, w wyjaśnieniu tragedii wyprawy Franklina, o polskich stacjach polarnych na Spitsbergenie i Wyspie Króla Jerzego, o Komitecie Badań Polarnych PAN i Klubie Polarnym. *Wybór polskich opracowań* też mógłby być lepszy!

Na tym wszystkich zaciążył brak fachowego recenzenta książki (czyżby oszczędność przy tak kosztownym wydawnictwie?). Nie zastąpiła go „konsultacja naukowa" prof. Alfreda Jahna — i szkoda, że w ogóle Jego nazwisko w tym charakterze w książeczce się znalazło. Szkoda, że Wydawnictwo, w ramach ciekawej serii („przy wsparciu francuskiego MSZ oraz Wydziału Kulturalnego i Naukowego Ambasady Francuskiej w Polsce"), dało nam książeczkę miernej wartości i obarczoną błędami. No, ale jeśli Francuzi nic lepszego nie mieli nam w tym zakresie do ofiarowania, a u nas także nic takiego nie ma...

Druga pozycja to Piotra Kłysza *Na spitsbergeńskim szlaku*, Wyd. Sorus, Poznań 1997, 176 stron, ilustracje. Kłysza, nie znając go jeszcze, zaprosiłem z polecenia moich przyjaciół geografów, do wzięcia udziału w kierowanej przeze mnie wyprawie alpinistycznej w Góry Atomowe (Atomfjella) — najwyższe na Spitsbergenie. Wyprawa miała działać w rejonie częściowo jeszcze zupełnie dziewiczym — i wydawało mi się, że nawet wstępne naukowe

rozpoznanie go może mieć zasadniczą wartość. Piotr, chociaż nie miał żadnego przygotowania wysokogórskiego i tylko teoretyczne pojęcie o krajach polarnych, na wyprawie spisał się bez zarzutu. Na ciężkim domarszu do rejonu działania z pełnym samozaparciem i bez szemrania dotrzymywał kroku doświadczonym w większości w górach lodowcowych towarzyszom. „Skazany" na samotny pobyt w chatce odległej o dzień marszu od bazy wyprawy, mimo stresu samotności polarnej, przez kilkanaście dni prowadził obserwacje i wstępne badania naukowe. Połknął „bakcyla polarnego" i stał się jednym z najbardziej zapalonych polskich spitsbergeńczyków. W czasie mojego prezesowania w Klubie Polarnym był jego sekretarzem. Jego zafascynowanie północnym Spitsbergenem, obok moich rad, sprawiło, że geografowie z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w przeciwieństwie do innych polskich ośrodków, ten właśnie rejon wybrali do swoich wieloletnich prac naukowych, chociaż nie docierali aż na teren rekonesansu Piotra.

O tym wszystkim pisze Kłysz w swojej książeczce wydanej w dwadzieścia lat po tamtej wyprawie. Jest to książeczka, moim zdaniem, w swojej klasie wzorcowa: napisał ją człowiek od młodości zafascynowany przyrodą i przygodą, jednak nie mający — poza rutyną polskiego geomorfologa — okazji do zetknięcia się z nimi i przeżycia tej przygody. Książka napisana jest w sposób absolutnie szczery i bezpretensjonalny. Kłysz nie ukrywa w niej nic ze swoich ciężkich nieraz przeżyć — trudu ciągnięcia sań, bólu kolan, przemoczonych i zziębnietych nóg, stresów samotnego pobytu w górskim, lodowym i fiordowym pustkowiu. Ale równocześnie pełna jest świeżości przeżyć i zafascynowania tym wszystkim przez mieszczucha — prawda, że z racji swojego zawodu przywykłego do pracy terenowej, ale jakżeż innej w Polsce od tej, z którą spotkał się na Spitsbergenie, i to od razu w jego najbardziej dziewiczej części. Ten autentyzm przeżyć i to zetknięcie się laika z nowością polarnego przeżycia i udziałem w wyprawie eksploracyjnej jest największym walorem „spitsbergeńskiego szlaku".

Większa część książeczki opiera się na szczegółowych notatkach, które prowadził w czasie wyprawy. Ale Kłysz wplata też w tok opowiadania szereg krótkich, rzeczowych i przystępnie podanych informacji — właśnie takich, jakie potrzebne są nieprzygotowanemu merytorycznie czytelnikowi do zrozumienia i przeżycia tej pierwszej spitsbergeńskiej przygody. Jedynym poważniejszym, moim zdaniem brakiem, jest skąpość dat poszczególnych dni wyprawy, przy bardzo szczegółowym, co do minuty, podawaniu czasów poszczególnych wydarzeń. Mamy więc datę wyjazdu z kraju — 5 lipca, i powrotu do Poznania — 19 sierpnia 1977, a między nimi gdzieniegdzie podawane są daty wplecione w tekst poszczególnych podrozdzialików. Chyba lepiej byłoby po-

dawać daty przy tytułach podrozdzialików: nadałoby to książce bardziej charakter pamiętnika, jakim *de facto* w większości jest.

W sumie bardzo dobra rzecz. Takich nam brakuje. Brawo, Piotrze!

* * *

Jakiś czas temu szedł w kinach, a obecnie dostępny jest na kasetach wideo film polarny (czy może raczej pseudopolarny) *Wyspa Niedźwiedzia*, produkcji kolumbijskiej, nakręcony na podstawie książki Alistaira MacLeana pod tym samym tytułem przez reżysera Dona Sharpa.

Filmów o tematyce polarnej widujemy ostatnio sporo. W telewizji są to zazwyczaj autentyki, kręcone przez uczestników wypraw — i są to doskonałe filmy o wielkiej wartości dokumentacyjnej i naukowej, często wręcz przepiękne. Natomiast filmy „polarne" fabularne to normalne „chały" — i to wielkie. Tak właśnie ma się sprawa z *Wyspą Niedźwiedzią*. Czegóż tam nie ma? Są wielkie góry lodowcowe, gigantyczne lawiny, ogromne bazy, stada najnowocześniejszych skuterów śnieżnych, podziemne porty łodzi podwodnych. No i cała akcja szpiegowsko-dywersyjna, oczywiście wiele trupów i wspaniałe, bohaterskie dziewczyny. Bez tego wszystkiego ostatnio komercyjny film amerykański nie może się w ogóle obyć. Żeby nam było miło, występuje też w filmie Polak, stuprocentowo kaukasko-śródziemnomorski kruczoczarny brunet, który też zostaje zabity. Ale co to ma wspólnego z autentyczną Wyspą Niedźwiedzią, bardzo dokładnie na początku filmu zlokalizowaną na mapie? Otóż nic. Absolutnie nic.

Myślę, że w filmie komercyjnym można, a nawet może trzeba, wymyślać jak najbardziej sensacyjną fabułę, nie szkodzi, że absolutnie bzdurną. Nie wolno natomiast — i moim zdaniem powinno to być prawnie zabronione — używanie nazw własnych. Nazwy te, podobnie jak nazwiska, powinny podlegać pełnej ochronie prawnej. Można, oczywiście — i robi się to — nakręcić idiotyczny film np. o prezydencie USA, ale nie wolno w nim użyć nazwiska Nixona, Cartera czy któregokolwiek z faktycznych prezydentów. Wyspa Niedźwiedzia jest jednostką o swojej absolutnej osobowości — przyrodniczej i historycznej — i nie wolno tego dowolnie zmieniać! Poddaję to po rozwagę koledze profesorowi Jackowi Machowskiemu i postuluję wprowadzenie sprawy ochrony geograficznych nazw własnych na forum najwyższych organizacji międzynarodowych!

Oczywiście nie obejrzałem tego filmu w kinie — obejrzałem go ostatnio, zamiast spać, w autobusie, w drodze powrotnej z Londynu. Notabene podobną sytuację spotykamy ostatnio także w filmach alpinistycznych, a także trochę

w literaturze (odbija się niesławnej pamięci *Mount Everestem* Jalu Kurka), gdzie też powinna być prawnie zastrzeżona osobowa, rzeczowa „autentyczność" morfologiczna i historyczna gór. Poddaję to pod rozwagę naszym władzom PZA!

I to by było „na tyle".